

Tomasz Gutkowski („Gutek” - 1981)

## DLACZEGO CZEKAM 5 LAT NA KOLEJNY ZJAZD ABSOLWENTÓW ?

Już same egzaminy wstępne były przeżyciem. Autobus jadący z Krzyków na Karłowice, gdzie odbywał się egzamin wstępny „wypadł z kursu”. Zobaczyłem przed sobą widmo wojska i zacząłem w garniturze biec. Mokry, spocony, ale również spóźniony, wszedłem na salę. Potem kilka tygodni niepewności, by wreszcie ujrzeć swoje nazwisko na liście wywieszanej przed dziekanatem. Wychodziłem z Gmachu NOT-tu kilka razy, by szybko wbiec znów na górę i jeszcze raz sprawdzić; czy to ja? Znow na dół i znów na górę; tym razem by sprawdzić czy to nie ja? W końcu uwierzyłem, że jestem studentem Wydziału Górniczego Politechniki Wrocławskiej.

\*\*\*\*\*

Rok akademicki 1975/1976 rozpoczął się od podziału na grupy. Najpierw na „maszyny” i „eksploatację”, a następnie na grupy studiujących; według alfabetu. Część ludzi znała się ze szkół średnich i praktyki robotniczej, więc pozamieniała się z innymi. Opiekunem, który do nas trafił był dr inż. Aureliusz Mikłaszewski, młody, niezwykle smukły i lekko jękający się pracownik naukowy naszego Wydziału. Ja zostałem starostą grupy, a następnie roku. Piastowałem tę funkcję przez całe 5-lat i jak to określił na VI Zjeździe kolega Witold Bugajski ( „Pagaj”, "Bugaj"): „i nikt Cię Gutek z tego obowiązku nie zwolnił ...”. Starsi koledzy wprowadzili nas szybko w tajniki życia studenckiego, którego środek ciężkości leżał wtedy w akademikach. W naszym roczniku (1975–1980), było jednak wielu mieszkających we Wrocławiu. I to może być odpowiedzią na pytanie, dlaczego właśnie ten rocznik był wyjątkowym. W reprezentacji wydziału w piłce nożnej nastąpiła wymiana całej generacji piłkarzy. Pod wodzą mgr Ryszarda Kabata przez kolejne 5 lat walczyli o mistrzostwo Politechniki Wrocławskiej m.in.:

- na bramce: Tomasz Gutkowski („Gutek”)
- w obronie: Ryszard Kabat ( „Rysiek”), Krzysztof Lubański („ Hansi”), Jan Krzywicki („Krzywik”), Arkadiusz Siwczynski („Siwy”), Krzysztof Kalitka („Kalis”)
- rozgrywający: Andrzej Dziuba („Dziubek”), Wiesław Durbało („Durbajło”), Janusz Gizinski,
- napastnicy: Witold Krochmal („Wicia”), Edward Stefanicki.

Drużyna ta była w latach 1976-1980 każdego roku mistrzem Politechniki Wrocławskiej oraz dwa razy zdobywcą również Pucharu Rektora PWr. Podobnie działo się z koszykówką, której reprezentacja naszego wydziału w składzie: Dziuba, Gutkowski, Gryczman, Kazienko, Krochmal, Lubański, Wilczewski i inni, zdobywała kilkakrotnie mistrzostwo Politechniki Wrocławskiej. Młodzi pracownicy naukowci: J. Urbański, R. Kabat, M. Sikora, S. Ślusarczyk, W. Głapa,

H. Wojtkiewicz, Z. Nęcza, A. Miłośkowski, Cygan i inni, wprowadzali nas w obowiązki i tradycje wydziału. Organizowali oni z wielkim zaangażowaniem, uroczystości barbórkowe, tablice piwne, otwarcie roku akademickiego, na których my młodzi adepci sztuki górniczej spełnialiśmy w początkowej fazie rolę siły roboczej – rozumiejąc, że branie w tym udziału, jest już samym zaszczytem. Anegdotą pozostanie historia, która wydarzyła się Witkowi Krochmalowi, właśnie na pierwszym roku. Stał on z Jasiem Krzywickim i ze mną „na bramce” w „Pałacyku”, w którym odbywał się bal barbórkowy. Olbrzymia cześć gości była już obecna, czekali na ówczesnego rektora Politechniki Wrocławskiej prof. Porębskiego. W pewnym momencie otwierają się drzwi i wchodzi dobrze ubrany gość z symptomami użycia alkoholu. Witek prosi gościa o zaproszenie. Facet przeszukuje kieszenie i nie znajdując niczego, co by go uprawniało do wejścia na bal. Mówi do Wicia: „Ja nazywam się Porębski”. Na co Wiciu odpowiada wskazując na drzwi - „A ja nazywam się Krochmal, a teraz do domu...”. Jasiu Krzywicki otwierał już drzwi. My z Wiciem, chcieliśmy brać delikwenta delikatnie pod ramiona, gdy z góry po schodach dr. Urbański i dr. Sikora zbiegali na łeb i szyję, krzyząc - „Chłopcy, wszystko w porządku, ten pan może wejść...” No i wszedł... Nas schowano w najdalszych kątach „Pałacyku” i przewidziano do sprzątnięcia. Nie mniej jednak, ten pierwszy rok obudził w nas żłkę organizowania imprez. Po przebrnięciu, przez pierwszy semestr, postanowiliśmy pojechać do Bułgarii i przejść przez góry Riły. I udało się. W dwunastu weszliśmy na Musale, prawie 4-ro tysięczny, drugi co do wielkości szczyt w Bułgarii. Wicia Krochmal zaimponował nam wszystkim znajomością bułgarskiego, a ja pogłębiałem stosunki międzynarodowe. Dokładnie na przełomie lipca i sierpnia natura zaskoczyła nas śnieżycą. Po powrocie do Polski pojechaliliśmy na praktykę do Iwin, koło Bolesławca do Kopalni „Konrad”. Wytwarzała się coraz lepsza atmosfera, gdyż coraz więcej czasu spędzaliśmy w różnych warunkach razem, gospodarując czasem wolnym tak, by każdy z uczestników praktyki był zadowolony.

\*\*\*\*\*

Studia rozpoczęły się pełną parą. Pojawiły się zajęcia z wytrzymałości materiałów i statyki u doc. Jokiel. Starsi koledzy poinformowali nas krótko; po Jokielu (Egzamin ze statyki u ówczesnego dziekana) można tytułować się inżynierem. A potem to tylko pozostaje dyplom. Pierwszym i niezwykłym dla wszystkich przeżyciem, była historia Bogdana De Wille, który zakończył swoją karierę studencką na pierwszym semestrze. Nie mniej jednak, odgrywa ona do dnia dzisiejszego rolę we wspomnieniach obecnych absolwentów. Otóż na pierwszym semestrze w roku 1975 mieliśmy algebrę, prowadzoną przez dr. Bałuke. Pojawiał się on w budynku NOT-tu o godzinie 7.30 ubrany w prochowiec koloru żółto-zielonego. Mały, mijając bez słowa stojących studentów, zbliżał się do tablicy i bez oglądania się, zaczynał prowadzić wykład, odwrócony plecami do publiczności. Pisał na tej tablicy w tym prochowcu, mruczając coś pod nosem. Gdy się pomylił lub zmienił tok myślenia, jak i również w przypadku, gdy na tablicy brakowało miejsca, wysyłał studenta w celu zmoczenia gąbki i nie czekając na jego powrót zmywał rękawem tablicę by pisać dalej. Po czym, po uwadze, że jesteśmy już spóźnieni na następne zajęcia, wychodził bez słowa z sali. Jak to jeden z kolegów określił; „ubabrany po łokcie”. Ćwiczenia z tej dyscypliny prowadził mgr Wołowicz zwany „Wampirem”. Robiąc mu duży dzisiaj komplement można by go nazwać ładnie „żłobem”. Wampir wyszukał sobie Bogdana De Wille jako ofiarę. Wzywając go do tablicy mówił; Panie Dewil zamieniając literkę „w” na „b”. Była to forma mobingu, którym Wampir chciał z kolegi

De Wille zrobić debila i my mieliśmy się z tego śmiać. Nikt z nas nawet się nie skrzywił. Bezuczuciowe maski czekały na zakończenie zajęć. Nienawidziliśmy: jego, jego zajęć i tej całej algebry. Boguś wyleciał po pierwszym semestrze i pojechał mimo to z nami do Bułgarii. Brał udział w naszym „półmetku” w roku 1978. Ćwierć wieku później, na VI Zjeździe, jak za każdym razem, siedząc przy stole w rynku „Pod Gryfami” znów wspomniano Bogdana De Wille – mówił o nim Bugajski, Cader, Krochmal, Lubański, Paszkowska i inni – cała jedenastka tego stołu...

Na drugim roku czuliśmy się mocni. Wojsko nam nie groziło i zauważyliśmy u naszych wykładowców, chęć nauczenia nas czegoś. Nie mówiliśmy już o uczelni – tylko nazywaliśmy wydział – szkołą. Prodziekan do spraw dydaktycznych doc. Jokiel zaczął odgrywać w naszym życiu coraz większą rolę. Hołdując zasadom dydaktycznym ”pełne zaangażowanie osobiste, wysokie wymagania, żelazna konsekwencja, a także sprawiedliwość, uczciwość i życzliwość”, kształtował nas, młodych studentów, na ludzi zaangażowanych, świadomych swojej roli jak i dyscypliny. I co najważniejsze; nie mających żadnych problemów z odpowiedzialnością. Doc. Jokiel („Jogi”) był niezwykłą postacią tego wydziału. Był wyrocznią. Wzorcem pozostał do dnia dzisiejszego. Zasady te wprowadziłem, bez żadnych poprawek, również do mojego życia. Po ich przyjęciu, musiałem jednak od razu zdać egzamin i to najtrudniejszy w moim życiu. Prawdziwy egzamin dojrzałości. W roku 1981 postanowiłem opuścić Polskę i udać się do Niemiec, a następnie biorąc za cel - RPA. Metody uzyskania paszportu wtedy były bardzo różne, szczególnie, gdy rządziła zasada trzyletniej karencji opuszczania Kraju od zakończenia studiów. M.in. nasz kolega Jasiu Wilczewski poszedł na łatwiznę i składając podanie o paszport, w rubryce rok studiów wstawił rzymskie V. Co było zresztą zgodne z prawdą i doc. Jokiel podpisał podanie. Zezwolenia na paszporty udzielał Wydział Paszportowy K.W.M.O we Wrocławiu. Jasiu otrzymawszy podpis doc. Jokiel i możliwe pieczętki, dopisał na podaniu jedną pionową kreskę i zrobił z rzymskiego V rzymskie IV; co oznaczało, że miał jeszcze cały rok czasu do ukończenia studiów. Po czym otrzymał paszport i wyjechał z dyplomem do Kanady przez Austrię. Ja postanowiłem iść na jak najmniejsze ryzyko i nie narażać ludzi, wykorzystując przy tym bezwładność aparatu administracyjnego. Zdałem więc na ostatnim roku wszystkie egzaminy z wyjątkiem dyplomowego. Po czym złożyłem u dziekana Jokiel podanie o urlop dziekański; ze względu na trudną sytuację rodzinną. Następnie będąc na urlopie dziekańskim, złożyłem podanie o paszport, które podpisał doc. Jokiel. Wiedziałem, że obowiązkiem obywatela PRL jest oddanie paszportu w ciągu siedmiu dni po powrocie do Kraju, a nie było żadnych rygorów związanych z wyjazdem. Zniknąłem z Wrocławia, by po kilku tygodniach pojawić się na uczelni i złożyć podanie o termin egzaminu dyplomowego. Był to koniec czerwca 1981 roku. Liczyłem na termin egzaminu gdzieś we wrześniu. Ku memu zdziwieniu, doc. Jokiel zaprosił mnie do dziekanatu na rozmowę. Wszedłem i ku memu, tym razem przerażeniu, odkryłem jeszcze prof. Żura. Obaj wypytywali mnie o moje przeżycia na Zachodzie. Kłamałem więc jak z nut, wg zasady – im mniej prawdy znają obaj panowie - tym lepiej dla nich. Termin egzaminu wyznaczono mi na dzień 17 lipca. Zdałem i 22 lipca 1981 wyjechałem do Niemiec. Potem przez wiele lat nosiłem w sobie wyrzuty sumienia z powodu tych kłamstw. Dopiero w roku 1990, w domu u doc. Jokiel dowiedziałem się od niego, że jest mi wdzięczny, właśnie za takie rozwiązanie sprawy. Kolejne lata z cementowały rocznik jak i studentów wydziału. Koleżanki: Dutkowska, Gołosińska, Suszko, Stefanicka, Zmora, Strzelczyk, Podsiadło oraz koledzy; Adamski, Bugajski, Merwart, Cader, Skowroński, Kmiecik, Wiorek, Wiewióra, Walkowski, Hunek i

inni, okazywali wiele zaangażowania i pomocy, zarówno na polu dydaktyki jak i w organizacji licznych imprez i projektów. Wspólne wyjazdy na narty do Rzeczek koło Walimia przetrwały nawet do połowy lat 90-tych. Dzisiaj można to określić jako autodydaktykę w procesach Teamwork-u, dynamiki grupy etc. A więc wszystko co obecnie uchodzi: za klucz do sukcesu, za jakość kierowania zespołami ludzkimi. W imprezach tych brały udział również młodsze roczniki. Nadal pozostaną w pamięci wieczory z muzyką kolegi Pomiana, Krzywickiego, koleżanki Czubryj, czy też te z głębokimi dowcipami kolegi „Hawranka”

\*\*\*\*\*

Rytm zajęć decydował o spotkaniach w gmachu NOT-u, w którym to poprzez częste przebywanie ze sobą, panowała atmosfera wzajemnego zaufania, która przetrwała do dnia dzisiejszego. Zaczęły się tworzyć podziały polityczne – które nie miały jednak żadnego wpływu na nasze wzajemne stosunki. Przewodniczącym SZSP został na rok akademicki 1978/79 Krzysiu Lubański. Jasiu Krzywicki z kolei zaangażowany był w opozycji, biorąc udział w tajnych kompletach nauczania. Dzięki Jasiowi dowiedziałem się o KORze, w którym aktywny był ojciec kolegi Krzywickiego. Przed walnym zebraniem SZSP w roku 1979 zwrócił się do mnie kolega Lubański z zapytaniem, czy nie zechciałbym kandydować na przewodniczącego. Tą samą propozycję miał Jasiu Krzywicki. Zapisalem się do SZSP i wybrano mnie rzeczywiście i to wbrew woli Zarządu Wojewódzkiego SZSP, przewodniczącym na rok 1979/1980. Był to taniec na linie. Z jednej strony SZSP, a z drugiej tajne spotkania z nielegalnie działającym Niezależnym Związkiem Studentów Polskich. Tak przetrwałem do roku 1980-go. W czasie wakacji Polska zamieniła się w Kraj protestu, strajków i olbrzymiej nadziei. Ja zaś płynąłem sobie kajakiem rzeką Drawą, z gronem przyjaciół. Wróciłem do Wrocławia jeszcze w sierpniu, na zebranie w domu przy ul. Zapolskiej. L. Budrewicz i Anka Rejman chcieli się ujawnić i proponowali akcję plakatową. Byłem przeciwny temu, gdyż jako przewodniczący SZSP na Wydziale Górniczym miałem pełną swobodę ruchu i sens ujawnienia, widziałem z dniem rozpoczęcia roku akademickiego. Z początkiem października zwołałem zebranie wszystkich studentów Wydziału Górniczego w sali kinowej gmachu NOT-u. Obecnych było około 200 osób. Poinformowałem wszystkich o nowej sytuacji w Kraju oraz związanych z tym konsekwencjach. Zaproponowałem powołanie do życia Komitetu Założycielskiego Niezależnego Związku Studentów Polskich. Zdecydowaliśmy, że Zarząd SZSP nie ustąpi do momentu zwołania Walnego Zebrania. Wystąpienie z SZSP na Wydziale Górniczym uregulowaliśmy zwrotem akt personalnych. Chodziło nam o to, by w przyszłości zostało jak najmniej śladów po tych, którzy opuścili tę organizację. Każdy miał więc w ręku swoje akta i mógł zdecydować sam o dalszej przyszłości. Sam Zarząd SZSP miał również dysponować majątkiem w zależności od potrzeb studentów. Szczególnie ta idea okazała się niezwykle cenna i chroniła nas wszystkich przed ewentualnymi ekscesami. Po tym wszystkim zgłosiło się dwóch kolegów mających chęć do kontynuacji pracy w SZSP. Była to jednak ze względów założeń statutowych zbyt mała ilość, gdyż do działalności potrzeba było najmniej trzech. Zdecydowaliśmy się odczekać i nie rozwiązywać SZSP na Wydziale Górniczym. Tych dwóch kolegów zyskało na czasie, by znaleźć ewentualnie kogoś trzeciego. Sytuacja ta była niezwykle wygodna, gdyż nie orientowałem się w podstawach prawnych dotyczących majątku tej organizacji. Wśród pracowników Wydziału Górniczego zaczęły powstawać wtedy również nowe Związki. W pewnym momencie spotkałem się z dr Mikołajewskim, który poinformował mnie o

problemach nowo powstałej organizacji. Chodziło o tablicę informacyjną. Jako ciągle jeszcze aktualny szef SZSP przekazałem mu pisemnie jedną z tablic na drugim piętrze. Nie byłem sam, gdyż prawie wszyscy koledzy, bez względu na zabarwienie polityczne, byli informowani o kolejnych krokach restrukturyzacji organizacji wydziałowych. Rok 1981 przyniósł jeszcze większe zmiany w moim życiu. Pojechałem jako obserwator na strajki w „Gencjanie” pod Jelenią Górą. Słuchając przedstawicieli ówczesnej władzy ludowo-robotniczej, tych „demokratów”, włos jeżył mi się na głowie, bo to była inna liga i to nie moja. Następnie były strajki studenckie w całej Polsce. Na których nie zabrakło również uczelni wrocławskich. Dziesięciu przedstawicieli studentów, w tym również ja, prowadziło rozmowy z rektorem na Politechnice Wrocławskiej. Potem były jakieś wizyty gości w cywilu o 6<sup>00</sup> rano, kipisz w domu, straszenie, a z drugiej strony, rozmowy o wspaniałych perspektywach pracy w milicji. Wszystko odbywało się spokojnie i nikt mnie nie bił. Zabrałem się za dyplom i wiedziałem, że wyjadę z Polski.

\*\*\*\*\*

Pojawiłem się po raz pierwszy na uczelni, po długiej przerwie, 20-tego lutego 1990 roku. Pamiętam tą datę dokładnie, gdyż właśnie tego dnia zmarł mój Ojciec. Przywitano mnie na Wydziale niezwykle serdecznie. Chodziłem od pokoju do pokoju, opowiadając swoje prawie dziesięcioletnie losy, po za granicami Kraju. Wszędzie piłem herbatkę i wszędzie słyszałem to samo zdanie- „Siadaj Gutek i opowiadaj”. Zrozumiałem, że tak naprawdę, to ja w tych Niemczech, czy gdziekolwiek byłbym na święcie, to ja nie jestem sam. Pojąłem właśnie wtedy, że każdy mój sukces jest częścią ich sukcesu, a każda porażka – boli ich bardziej niż mnie samego. „Ich” – tych nauczycieli akademickich, którzy za psie pieniądze, wychowują kolejne generacje decydentów. Dla których miarą dobrej pracy, wartością tego dzieła – są nasze drogi zawodowe jak i prywatne. Ta odpowiedzialność za nas, nie skończyła się z momentem otrzymania przez nas dyplomu. Każdy absolwent tego wydziału ma do spełnienia jakąś rolę w życiu społecznym. Dlatego właśnie takie cechy jak; „pełne zaangażowanie osobiste, wysokie wymagania, żelazna konsekwencja, a także sprawiedliwość, uczciwość i życzliwość” cytując doc. Jokiela, charakteryzują pracowników dydaktyczno-naukowych Wydziału Górniczego Politechniki Wrocławskiej. I dlatego właśnie czekam te 5 lat na kolejny Zjazd – a gdy brakuje mi cierpliwości, jadę po prostu ich odwiedzić – by wychowali następną generację absolwentów na: ludzi uczciwych, prawych, zaangażowanych, mądrych i dobrych fachowców. Takich, którzy sobie w życiu radzą.

Gelsenkirchen 11.11.2003

PS. Koledzy i koleżanki traktujecie każdy Zjazd jako zajęcia obowiązkowe.